Niesamowicie zajmująca historia wielopokoleniowa; portret Afganistanu w jego całej zadziwiającej, enigmatycznej wręcz glorii; zwierciadło ukazujące wieczną walkę, jaką staczają w życiu wszystkie afgańskie kobiety.

- KHALED HOSSEINI,
autor książek *Tysiąc wspaniałych słońc* i *Chłopiec z latawcem*

AFGAŃSKA PERŁA

Historia dwóch kobiet, które zmieniły swoje przeznaczenie

NADIA HASHIMI

NADIA HASHIMI

AFGAŃSKA PERŁA

Historia dwóch kobiet, które zmieniły swoje przeznaczenie

Przełożyła
Monika Pianowska

WYDAWNICTWO KOBIECE

Tytuł oryginału:
The Pearl That Broke Its Shell

Redaktor prowadząca: Beata Piecychna

Redakcja: Katarzyna Kolowca-Chmura
Konsultacja merytoryczna: dr Sylwia Surdykowska
Korekta: Beata Piecychna
Projekt okładki: Krzysztof Kibart, www.designpartners.pl
Skład: skladigrafika@gmail.com

THE PEARL THAT BROKE ITS SHELL. Copyright © 2014 by Nadia Hashimi.
All rights reserved.

Copyright © 2015 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Monika Pianowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2015
ISBN 978-83-65170-05-7

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE
www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

ROZDZIAŁ 1

Rāhimā

Szahla, stojąc w progu domu, wyciągała szyję zza jaskrawozielonych metalowych drzwi, których brzegi pokrywała rdza. Kiedy Parwin i ja w końcu wyłoniłyśmy się zza rogu, ujrzałyśmy w jej oczach ogromną ulgę. Nie mogłyśmy się znowu spóźnić.

Parwin spojrzała na mnie porozumiewawczo i przyspieszyłyśmy kroku. Gdybyśmy zaczęły biec, wzbudziłybyśmy tylko niepotrzebne zainteresowanie, więc szłyśmy, jak się dało najszybciej. Gumowe podeszwy naszych butów plaskały z impetem o ziemię, wzbijając tumany kurzu. Rąbki spódnic smagały nam kostki. Byłam tak spocona, że chusta przykleiła mi się do czoła. Parwin chyba podobnie, bo wiatr nie zwiał jej szalu z głowy.

Do diabła z nimi. To ich wina! Tych bezwstydnie uśmiechających się chłopaków w poszarpanych portkach! Nie pierwszy raz byłyśmy przez nich spóźnione.

W pośpiechu mijałyśmy kolejne drzwi – niebieskie, fioletowe, bordowe. Jak plamki farby na glinianych naczyniach.

Szahla machnęła do nas.

– Szybciej! – syknęła.

Dysząc, weszłyśmy za nią do środka. Metalowe brzegi uderzyły z brzękiem o framugę drzwi.

– Parwin! Musiałaś?

– Przepraszam, przepraszam! Nie sądziłam, że narobią tyle hałasu.

Szahla i ja przewróciłyśmy oczami. Parwin zawsze trzaskała drzwiami.

– Co tak długo? Nie poszłyście uliczką za piekarnią?

– Nie mogłyśmy, Szahla! On tam stał!

Wybrałyśmy dłuższą trasę, naokoło rynku, żeby uniknąć spotkania z wałęsającymi się przed piekarnią chłopakami, którzy ze zgarbionymi ramionami przeszukiwali wzrokiem dżunglę naszej wioski.

Poza grą w piłkę na uliczkach to właśnie był ich ulubiony sport – obserwowanie dziewcząt. Włóczyli się w pobliżu szkoły, czekając, aż skończymy lekcje. Kiedy nieświadoma niczego dziewczyna wpadła któremuś z nich w oko, ten potrafił rzucić się za nią w pościg, mijając samochody i przechodniów, i śledzić w drodze do domu. Idąc za nią, potwierdzał wcześniejszą deklarację: „To jest moja dziewczyna", i tym samym dawał innym do zrozumienia: „Nie macie tu czego szukać". Tego dnia to akurat moja dwunastoletnia siostra Szahla przyciągnęła jak magnes niechciane zainteresowanie.

Chłopcy uważali, że nam w ten sposób pochlebiają, jednak w rzeczywistości byłyśmy wystraszone. W końcu ludzie mogli pomyśleć różne rzeczy. Cóż, chłopaki w ich wieku nie mieli zbyt wielu rozrywek.

– Szahla, a gdzie się podziała Rohila? – wyszeptałam. Serce mi łomotało, kiedy przemykałyśmy na palcach na tył domu.

– Zaniosła sąsiadom trochę jedzenia. *Madar dżan** ugotowała dla nich bakłażany. Chyba ktoś umarł.

Umarł? Poczułam skurcz w żołądku, ale szybko ruszyłam za Szahlą.

– A gdzie mama? – zapytała Parwin nerwowo, przyciszonym głosem.

– Usypia dziecko – odparła Szahla, odwracając się do nas. – Więc lepiej przestańcie robić tyle rabanu, bo się dowie, że dopiero teraz wróciłyście ze szkoły.

Nagle mnie i Parwin zmroziło. Szahla patrzyła w nasze wielkie, wystraszone oczy. Obróciła się i ujrzała stojącą tuż za nią matkę, która wyszła z domu tylnymi drzwiami i stała na małym, brukowanym dziedzińcu.

---

* *Madar* – matka, *dżan* – drogi/a, kochany/a.

– Twoja matka jest świadoma tego, kiedy wróciłyście, dziewczęta. Wie również doskonale, jakim przykładem świeci twoja starsza siostra. – Skrzyżowała ramiona w geście równie surowym jak jej ton.

Szahla spuściła głowę ze wstydem. Ja i Parwin starałyśmy się unikać wzroku mamy.

– Gdzie byłyście?

Tak bardzo chciałam jej powiedzieć prawdę!

Jakiś chłopak – szczęściarz, bo miał rower – śledził Szahlę. Najpierw jechał za nami, a potem zataczał wokół nas koła. Szahla zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Gdy szepnęłam, że się na nią gapi, uciszyła mnie natychmiast, jakby moje słowa miały sprawić, że stanie się to prawdą. Za trzecim podejściem podjechał zbyt blisko.

Wyprzedził nas, a po chwili zawrócił i zaczął zmierzać w naszą stronę. Pędził zabłoconą ulicą i zwolnił dopiero tuż przed nami. Szahla odwróciła wzrok i starała się wyglądać na wściekłą.

– Parwin, uważaj!

Zanim zdążyłam odciągnąć siostrę, natręt na rowerze wjechał na leżącą na drodze puszkę, stracił równowagę, zaczął się chwiać w prawo i lewo, wreszcie skręcił z impetem, żeby nie wpaść na bezdomnego psa. Pędził prosto na nas. Chłopiec z uniesionymi brwiami i otwartą buzią zmagał się z rowerem, starając się opanować sytuację. Przemknął tuż obok Parwin, po czym przeleciał nad kierownicą i runął na schody sklepu z suszonymi produktami.

– Dobry Boże! – krzyknęła Parwin łamiącym się głosem. – Spójrzcie na niego! Przewrócił się!

– Myślicie, że coś mu się stało? – zapytała Szahla, zakrywając usta, jakby w życiu nie widziała czegoś tak tragicznego.

– Parwin, twoja spódnica! – Przeniosłam wzrok z przestraszonej twarzy Szahli na podarte brzegi ubrania Parwin. Połamane szprychy roweru zahaczyły o suknię mojej siostry, zanim chłopak upadł.

To był jej nowy szkolny mundurek. Parwin na widok zniszczonej spódnicy natychmiast zaczęła płakać. Wiedziałyśmy, że jeśli mama powie o tym ojcu, ten więcej nie pozwoli nam chodzić do szkoły i będziemy musiały siedzieć w domu. Wiedziałyśmy – bo raz już tak było.

– Dlaczego milczycie, skoro zadałam wam pytanie? Nie macie nic na swoje usprawiedliwienie? Spóźniłyście się i wyglądacie, jakbyście ganiały psy po ulicach!

Szahla często musiała się tłumaczyć w naszym imieniu i wyglądała na poirytowaną. Parwin to kłębek nerwów – zawsze – więc tylko cała się trzęsła. Usłyszałam swój głos, zanim do mnie dotarło, że mówię.

– Madar dżan, to nie nasza wina! Tam był taki chłopak na rowerze i my go ignorowałyśmy, ale on ciągle wracał. Nawet na niego nawrzeszczałam. Powiedziałam, że chyba jest skończonym idiotą, skoro nie zna drogi do własnego domu.

Parwin zachichotała mimo woli. Matka zmierzyła ją gniewnym wzrokiem. Potem zwróciła się do Szahli.

– Podjechał blisko? – zapytała.

– Nie, madar dżan. Był parę metrów za nami. Nawet nic nie powiedział.

Matka westchnęła i złapała się za skronie.

– Świetnie. A teraz wejdźcie w końcu do środka i zajmijcie się lekcjami. Zobaczymy, co na to wasz ojciec.

– Powiesz mu?! – Spanikowałam.

– Oczywiście, że mu powiem – odparła i dała mi klapsa, kiedy przekraczałam próg domu. – Przecież nie mamy w zwyczaju ukrywać czegokolwiek przed waszym ojcem!

Odrabiając lekcje, zastanawiałyśmy się po cichu, jak na to wszystko zareaguje *padar** dżan. Parwin miała kilka pomysłów na wymówki.

– Myślę, że powinnyśmy mu powiedzieć, że nasze nauczycielki już wiedzą o tych chłopcach, więc skoro wpadli w tarapaty, nie będą nas już więcej nękać – zaproponowała z przejęciem.

– Parwin, to nie przejdzie. A co wymyślisz, jeśli mama zapyta o to *chanum*** Beduri?

Szahla. Głos rozsądku.

– Cóż, wtedy powiemy, że chłopak nas przeprosił i obiecał więcej nie zaczepiać. Albo że opracujemy inną trasę do szkoły.

– Jasne, Parwin. Ale ty mu wciskasz ten kit. Ja mam dość odpowiadania za nas wszystkie.

---

* *padar* – ojciec

** *chanum* – pani

– Przecież Parwin nie piśnie słówka. Gada dużo tylko wtedy, kiedy nikt nie słucha – skwitowałam.

– Bardzo zabawne, Rahima. Za to ty jesteś taka dzielna, co? No to zobaczymy, jaką odwagą się wykażesz przed ojcem – dąsała się Parwin.

To prawda – nie okazałam się zbyt waleczną dziewięciolatką, gdy przyszło stawić czoła ojcu. Trzymałam kłębiące się myśli za szczelnie zaciśniętymi ustami, co oczywiście dało się łatwo zauważyć. W rezultacie ojciec postanowił znowu zabrać nas ze szkoły.

Prosiłyśmy i błagałyśmy, żeby pozwolił nam tam wrócić. Któregoś dnia nawet pojawiła się w naszym domu nauczycielka, przyjaciółka mamy ze szkolnych lat, i próbowała przemówić rodzicom do rozsądku. Ojciec kiedyś dawał się ugłaskać i z czasem jego gniew mijał, lecz tym razem było inaczej. Pozostał nieugięty. Chciał, żebyśmy się uczyły, ale walczył ze sobą, bo nie wiedział, jak zapewnić nam bezpieczeństwo. Co musiały czuć jego córki ścigane przez chłopców na oczach wszystkich? Jak to musiało wyglądać? Okropnie.

– Gdybym miał syna, takie rzeczy by się nie działy! Cholera jasna! Dlaczego nasz dom jest pełen dziewczynek? Żeby jedna, dwie… ale nie, pięć córek! – wrzeszczał, a mama, przybita jego rozczarowaniem, zabierała się do sprzątania.

Ostatnio ojciec stał się jeszcze bardziej wybuchowy. Mama kazała nam być cicho i okazywać mu szacunek. Tłumaczyła, że spotkało go sporo przykrych rzeczy i stał się bardzo nerwowy, ale obiecywała też, że jeśli będziemy grzeczne, wróci dawny ojciec. Jednak coraz trudniej było nam przypomnieć sobie dzień, w którym nie wściekał się i nie krzyczał.

Od kiedy przestałyśmy chodzić do szkoły, przybył mi jeszcze jeden obowiązek – zakupy w sklepie spożywczym. Moje starsze siostry bardziej przyciągały uwagę, więc zostały poddane kwarantannie. Zakupowa misja przypadła w udziale właśnie mnie, bo byłam jeszcze niewidzialna dla chłopców i niczym nie ryzykowałam.

Co dwa dni dostawałam od mamy kilka banknotów i wkładałam je do sakiewki, którą przyszyła mi do sukienki, żebym nie miała wymówki, gdybym zgubiła pieniądze. Przeciskałam się wąskimi, krętymi uliczkami,

by po pół godzinie dotrzeć na mój ulubiony plac targowy. Sklepy tętniły życiem, w środku krzątało się mnóstwo ludzi. Kobiety wyglądały inaczej niż jeszcze kilka lat wcześniej. Niektóre miały na sobie długie, niebieskie czadory*, inne były ubrane w sięgające do ziemi spódnice, a głowy owijały chustą. Wszyscy mężczyźni nosili podobny ubiór, co mój ojciec – tunikę i szerokie pantalony w kolorach tak burych i smętnych jak krajobraz naszej wioski. Mali chłopcy z kolei wyróżniali się nakryciami głowy. Ich czapki były ozdobione połyskującymi szkiełkami, które przypominały małe lusterka, i złotymi haftami. Zanim dotarłam na miejsce, moje buty były już zupełnie zakurzone, a ja musiałam używać chusty jako maski ochronnej przed tumanami pyłu wzbijanego przez setki samochodów. To wyglądało tak, jakby zgniłozielony pejzaż naszej wioski rozpuszczał się w powietrzu.

Po dwóch tygodniach od szlabanu na szkołę sklepikarze zaczęli mnie rozpoznawać. W końcu niewiele było dziewięcioletnich dziewczynek, które z determinacją wędrowały od sklepu do sklepu. Wielokrotnie widziałam, jak rodzice targowali się ze sprzedawcami, żeby trochę zbić cenę, więc po jakimś czasie sama też postanowiłam spróbować. Pokłóciłam się z piekarzem, bo kazał mi płacić dwa razy więcej niż mamie. Próbował mi wmówić, że wybrana przeze mnie mąka jest importowana, dlatego cena jest wyższa, na co ja z drwiną prychnęłam, że taką samą luksusową mąkę znajdę u pana Mirłaisa na końcu ulicy i na pewno tyle mi nie policzy. Piekarz zacisnął tylko zęby i dołożył mąkę do pozostałych zakupów, mrucząc pod nosem słowa, których nie powinno słyszeć żadne dziecko.

Madar dżan była zadowolona z mojej pomocy. Jej uwagę zaprzątała opieka nad Sitarą, która właśnie stawiała pierwsze kroki. Kiedy z Szahlą zajmowały się odkurzaniem, zamiataniem albo przygotowywaniem kolacji, malutką siostrą opiekowała się Parwin. Każdego popołudnia mama sadzała nas z podręcznikami i zeszytami, żebyśmy odrabiały prace domowe, które sama nam zadawała.

Te dni okazały się wyjątkowo długie i trudne dla Szahli. Tęskniła za przyjaciółkami i rozmowami z nauczycielami. Głównymi zaletami mojej siostry były inteligencja i intuicja. Co prawda nie miała najlepszych ocen w klasie, jednak potrafiła tak oczarować nauczycieli, że szybko trafiała na

* Czador – tradycyjny strój noszony przez kobiety w krajach islamskich, ogromna chusta zasłaniająca całe ciało poza twarzą.

krótką listę ulubionych uczniów. Nie wyróżniała się szczególną urodą, ale przykładała ogromną wagę do swojego wyglądu. Co wieczór przynajmniej przez pięć minut czesała włosy. Przestawała je szczotkować dopiero, gdy ktoś jej przypomniał, że od tego urosną jej jeszcze dłuższe loki. Miała miłą twarz, ale nie można jej było nazwać piękną i nie zapadała od razu w pamięć. Za to jej osobowość sprawiała, że Szahla błyszczała. Ludzie patrzyli na nią i nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Grzeczna i ułożona, była w szkole ulubienicą. Potrafiła patrzeć na człowieka w taki sposób, że ten od razu czuł się ważny. Mama była dumna z mojej siostry, bo Szahla podczas spotkań z przyjaciółmi czy rodziną wypowiadała się dojrzale i mądrze, i zawsze pytała o innych.

– Jak się miewa Farzana? Wieki jej nie widziałam! Przekażcie, proszę, że o nią pytałam – mówiła, a prababcie kiwały z uznaniem głowami, że mama wychowała taką porządną dziewczynkę…

Parwin to zupełnie inna historia. Była bardzo atrakcyjna. Nie miała ciemnobrązowych oczu jak my wszystkie. Jej były orzechowe z odcieniem szarego. To były oczy, przez które można było zapomnieć, co właśnie miało się powiedzieć. Jej ładną buzię okalały falujące, błyszczące kosmyki. Bez dwóch zdań Parwin była najpiękniejszą dziewczyną w całej naszej ogromnej rodzinie.

Niestety, zupełnie nie potrafiła zachować się w towarzystwie. Kiedy odwiedzali nas przyjaciele mamy, Parwin najchętniej wciskała się w kąt, gdzie bez końca składała i rozkładała obrus. Cieszyła się jeszcze bardziej, gdy udało jej się czmychnąć z domu, zanim towarzystwo rozgościło się w salonie. A już największą ulgą było uniknięcie tradycyjnego, składającego się z trzech pocałunków powitania. Na pytania odpowiadała krótko, cały czas wypatrując najbliższej drogi ucieczki.

– Parwin, błagam! *Chala*[*] Lailoma o coś cię pyta. Mogłabyś się łaskawie odwrócić? Nie musisz akurat teraz podlewać kwiatków!

Brak talentów towarzyskich Parwin nadrabiała zdolnościami artystycznymi. Potrafiła zdziałać cuda za pomocą ołówka i kartki. W mistrzowski sposób zamieniała grafit w energię. Pomarszczone twarze, ranny pies, zrujnowane domy. Miała talent, dar pokazywania tego, czego

* *Chala* – ciotka

zwykły człowiek nie był w stanie zobaczyć. W kilka minut potrafiła stworzyć arcydzieło… ale zmywanie naczyń zajmowało jej już kilka godzin.

– Parwin jest z innego świata – tłumaczyła mama. – To wyjątkowa dziewczyna.

– A co dobrego jej to daje? Będzie się musiała przełamać i nauczyć przetrwać w TYM świecie – kwitował ojciec, który mimo wszystko uwielbiał rysunki córki i trzymał przy łóżku całą stertę jej prac, żeby móc od czasu do czasu je przeglądać.

Innym problemem Parwin było chore biodro. Ktoś wyjaśnił mamie, że musiała za dużo leżeć na jednym boku, kiedy była w ciąży. Gdy Parwin zaczynała raczkować, już wtedy było widać, że coś jest nie tak. Potem bardzo długo uczyła się chodzić i do tej pory nie przestała kuleć. Ojciec zabrał ją do lekarza, kiedy Parwin miała pięć czy sześć lat, ale było już za późno.

Następna w kolejce byłam ja. Zakaz chodzenia do szkoły nie przeszkadzał mi aż tak bardzo, jak moim siostrom. Pewnie dlatego, że dzięki niemu zyskałam możliwość wychodzenia z domu bez ich towarzystwa, więc nikt nie dawał mi reprymendy i nie kazał trzymać się za ręce przy przechodzeniu przez ulicę. W końcu cieszyłam się swobodą – i to większą niż moje siostry!

Mama potrzebowała pomocy w załatwieniu wielu spraw, a ostatnio na ojcu w ogóle nie można było polegać. Gdy prosiła go, żeby w drodze do domu wstąpił na targ po zakupy – zapominał, a potem jeszcze narzekał na pustą spiżarnię. Lecz kiedy sama wybierała się na zakupy, wpadał w jeszcze większą furię. Od czasu do czasu mama prosiła o przysługę sąsiadów. Starała się jednak nie korzystać z ich pomocy zbyt często, wiedząc, że krążą między nimi plotki o dziwacznym zachowaniu ojca. Podobno widywano go, jak krążył bez celu po naszej uliczce i gestykulował w ożywiony sposób, jakby tłumaczył coś ptakom. Mnie i siostry również zaczęło to niepokoić, ale matka tłumaczyła, że ojciec bierze jakieś lekarstwo i to ono ma na niego osobliwy wpływ.

Chociaż wiedziałam, że to je złości, w domu w kółko opowiadałam dziewczynom o moich przygodach na zewnątrz, „na świecie". Właściwie

bardziej dotykało to Szahlę – Parwin pozostawała niemal niewzruszona, pogrążając się w magii ołówków i papieru.

– Jutro chyba skoczę do sklepu po trochę prażonej cieciorki, zostały mi pieniądze. Jeśli chcesz, tobie też kupię, Szahla.

Ona jednak tylko westchnęła i obróciła małą Sitarę na drugi boczek. Wyglądała jak poirytowana młoda matka.

– Zapomnij, nie potrzebuję cieciorki. Lepiej już idź i dokończ, co masz zrobić, Rahima. Chociaż i tak jestem pewna, że się TAM obijasz. I wcale ci się nie spieszy do domu.

– Nieprawda, nie jestem leniem! Przecież robię to, co każe mi mama. Zresztą… nieważne. Widzimy się później.

Nie chciałam wzbudzać w siostrach zazdrości. Po prostu kipiała we mnie radość z nowych przywilejów. Z możliwości wychodzenia i przychodzenia, z włóczenia się od sklepu do sklepu bez ich nadzoru. Gdybym miała trochę więcej taktu, znalazłabym inny sposób na wyrażanie swoich emocji. Niestety, obcując z ciocią, nie nauczyłam się trzymać języka za zębami.

Chala Szaima to starsza siostra mamy i jednocześnie najbliższa jej osoba z całej rodziny, dlatego widywałyśmy ją dość często. Gdybyśmy nie dorastały w jej towarzystwie, prawdopodobnie przerażałby nas jej wygląd. Ciotka Szaima urodziła się z krzywym kręgosłupem, który wił się wzdłuż jej pleców jak wąż. Chociaż dziadkowie mieli nadzieję, że w końcu zainteresuje się nią jakiś kawaler, wciąż była pomijana. Pytano o mamę albo ciocię Zebę – najmłodszą z rodzeństwa. Nikt jednak nie chciał biednej, garbatej Szaimy.

Ciotka dosyć wcześnie zrozumiała i zaakceptowała fakt, że ma niewielkie szanse na przykucie czyjejś uwagi, więc postanowiła wcale nie przejmować się swoim wyglądem. Nie regulowała brwi, pozwalała rosnąć pojedynczym zbłąkanym włoskom na brodzie, na co dzień i od święta nosiła wciąż tę samą, paskudną, burą szatę.

Zamiast skupiać się na wyglądzie, całą energię wkładała w opiekę nad siostrzenicami oraz nad naszymi starzejącymi się dziadkami. Chala Szaima dbała o wszystko – upewniała się, czy radzimy sobie w szkole, czy mamy odpowiednie ubrania na zimę, czy nie zaraziłyśmy się robakami. Była naszą tarcza obronną i zapewniała nam to, czego nie mogli zapew-

nić rodzice. I co najważniejsze, należała do nielicznego grona osób, które były w stanie zdzierżyć towarzystwo ojca.

Trzeba było jednak znać ciotkę Szaimę, żeby zrozumieć jej zachowanie. Naprawdę zrozumieć. Pozorny brak uprzejmości w rozmowie, szorstkość, krytyczne uwagi i zmrużone nieufnie powieki mogły łatwo odstraszyć, jeśli nie znało się jej prawdziwych intencji. Ale trudno się jej dziwić, wiedząc, jak całe życie była traktowana zarówno przez obcych, jak i przez rodzinę. A mimo wszystko w głębi serca ta kobieta chciała dla nas jak najlepiej.

Zawsze przynosiła nam łakocie. Ojciec komentował złośliwie, że jej wypełnione cukierkami kieszenie były jedyną słodką rzeczą w całej postaci Szaimy. Razem z siostrami udawałyśmy obojętność. W rzeczywistości nie mogłyśmy się doczekać szelestu papierków. Kiedy tamtym razem nas odwiedziła, akurat wróciłam z zakupów, więc miałam mnóstwo czasu na przejęcie swojego przydziału słodyczy.

– Szaima, na litość boską! Rozpuszczasz mi dziewczyny! Skąd ty bierzesz takie czekoladki? Na pewno kosztują majątek!

– Pilnuj swojego nosa! – odgryzła się ciotka. Jej kolejnym znakiem rozpoznawczym były charakterystyczne powiedzonka. W każdą rozmowę wplatała afgańskie przysłowia, przez co dialogi z nią stawały się pokręcone jak jej kręgosłup. – Lepiej każ dziewczynkom wracać do odrabiania lekcji.

– Ale my już skończyłyśmy, ciociu Szaimo! – odezwała się Szahla. – Siedziałyśmy nad zadaniami cały ranek.

– Cały ranek? Nie poszłyście dziś do szkoły? – Szaima zmarszczyła brwi.

– Nie. Już nie chodzimy do szkoły. – Szahla wybałuszyła oczy. Doskonale wiedziała, że wpędza mamę w tarapaty.

– Co to ma znaczyć, Raisa?! Dlaczego nie posłałaś córek do szkoły?

Mama niechętnie podniosła wzrok znad filiżanki z herbatą.

– Musieliśmy je znowu wypisać.

– Czy wyście do cna powariowali? Ciekawe, jakiej absurdalnej wymówki użyjesz tym razem. Dlaczego trzymacie dziewczynki w domu? Bo pies na nie naszczekał na ulicy?

– Nie, Szaima. Chyba nie sądzisz, że ta sytuacja jest mi na rękę. Po prostu nie możemy ryzykować. Wiesz, jacy są chłopcy w ich wieku. Ojciec zwy-

czajnie nie chce ich narażać na głupie zaczepki chłopaków z sąsiedztwa. Naprawdę, tym razem nie mam do niego pretensji. W końcu minął zaledwie rok, od kiedy mogły samodzielnie poruszać się po ulicy. Może to za wcześnie…

– Za wcześnie? Raczej za późno! Powinny od dawna chodzić do szkoły. Pomyśl tylko, jak bardzo są w tyle. A teraz, kiedy wreszcie mają okazję nadrobić zaległości, chcecie trzymać je zamknięte w domu, żeby szorowały podłogi? Na ulicy przecież zawsze trafi się jakiś idiota, który albo powie coś niestosownego, albo spojrzy nie tak, jak trzeba. Wierz mi. Trzymając dzieci w domu, nie będziecie wcale lepsi od talibów, którzy pozamykali szkoły.

Szahla i Parwin spojrzały na siebie.

– Więc jak powinnam postąpić? Kuzyn Arifa, Hasib, powiedział mu, że…

– Hasib? Ten kretyn, który tylko kłapie dziobem i robi więcej hałasu niż ruski czołg? Podejmujesz decyzje związane z twoimi córkami na podstawie czegoś, co powiedział Hasib? Siostro, spodziewałam się po tobie nieco więcej rozsądku.

Matka fuknęła z irytacją i zaczęła masować skronie.

– To poczekaj tutaj na Arifa i sama mu powiedz, jaka jest twoja złota rada!

– A czy ja powiedziałam, że wychodzę? – odparła ze spokojem ciotka Szaima.

Podłożyła sobie poduszkę pod nierówne plecy i oparła się o ścianę. Przygotowywałyśmy się na dawkę mocnych wrażeń. Ojciec nienawidził stawać w szranki z ciotką Szaimą i tym bardziej nie cierpiał, kiedy się wtrącała. I oboje zupełnie się z tą wzajemną niechęcią nie kryli.

– Jesteś głupcem, jeśli uważasz, że dla dziewczynek lepsze będzie gnicie w domu niż nauczenie się czegoś w szkole.

– Ty nigdy nie chodziłaś do szkoły i zobacz, jak dobrze na tym wyszłaś – zażartował ojciec.

– Za to mam trochę więcej pod kopułą niż pan, panie inżynierze.

Cios poniżej pasa. Ojciec po liceum chciał pójść na politechnikę, ale nie dostał się z powodu słabych ocen. Chodził tylko przez semestr na zajęcia ogólne, po czym rzucił je i zaczął pracować. Dorobił się własnego zakładu, w którym naprawiał sprzęty elektroniczne. Ponieważ był w tym

całkiem dobry, miał sobie za złe, że nie naprawia ich z tytułem inżyniera. A to wśród Afgańczyków niemałe wyróżnienie.

– Niech cię szlag, Szaima! Wynoś się z mojego domu! To moje córki i żadna pokraka nie będzie mnie pouczać!

– Cóż, ta pokraka ma całkiem niezły pomysł na wyjście z sytuacji. Może łaskawie schowasz swoją dumę do kieszeni i wyślesz dziewczynki z powrotem do szkoły.

– Zapomnij. Idź już lepiej, żebym nie musiał cię dłużej oglądać. Raisa! Gdzie, do cholery, jest moje jedzenie?!

– Co to za pomysł, Szaima? – Matka aż podskoczyła na krześle. Była ciekawa, co jej siostra ma do powiedzenia. Zawsze szanowała jej zdanie. I zazwyczaj Szaima miała rację. Matka w pośpiechu podsunęła talerz z obiadem ojcu, który bezmyślnie patrzył w okno.

– Raisa, pamiętasz historię, którą opowiedziała nam babcia? Pamiętasz bibi Szekibę?

– No pewnie! Ale co ona ma wspólnego z naszymi dziewczynkami?

– Stała się tym, czego potrzebowała jej rodzina. Stała się tym, czego potrzebował król.

– Król! – zadrwił wyrwany z transu ojciec. – Twoje bajki stają się coraz bardziej pokręcone. Stul już lepiej tę paskudną jadaczkę.

Ciotka Szaima zignorowała jego uszczypliwy komentarz. Słyszała znacznie gorsze.

– Myślisz, że w naszym wypadku to też by zadziałało?

– Dziewczynki potrzebują brata.

Matka odwróciła głowę i jęknęła z rezygnacją. To, że nie udało jej się powić syna, dręczyło ją od narodzin Szahli. Tym razem znów została ugodzona w czuły punkt. Nie patrzyła mężowi w oczy.

– Właśnie po to do nas przyszłaś? Żeby mi powiedzieć, że potrzebujemy chłopaka? Nie przyszło ci do głowy, że sam to wiem? Gdyby twoja siostra była lepszą żoną, to na pewno już bym miał syna!

– Przestań gderać i daj mi dokończyć.

Ale wcale nie miała zamiaru kończyć – dopiero zaczęła. Tej nocy ciotka Szaima zaczęła opowieść o mojej praprababci Szekibie. Opowieść, której ani ja, ani moje siostry do tej pory nie słyszałyśmy. Opowieść, która mnie zmieniła.

ROZDZIAŁ 2

Szekiba

Szekiba.
„Twoje imię oznacza dar. Jesteś darem, moje dziecko. Cudownym prezentem od Allaha".

Kto by się spodziewał, że Szekiba naprawdę stanie się tym, co znaczyło jej imię? Prezentem przekazywanym z rąk do rąk. Szekiba przyszła na świat pod koniec XIX wieku w Afganistanie, na który łypały łakomie Rosja i Wielka Brytania. Oba imperia obiecywały na zmianę chronić granice kraju, na który właśnie napadły, zupełnie jak pedofil przyrzekający miłość swojej ofierze.

Granice między Afganistanem a Indiami były od czasu do czasu przerysowywane, jakby faktycznie znaczyły tyle, ile linie namazane ołówkiem na mapie. Ludzie należeli raz do jednego państwa, to znów stawali się obywatelami drugiego – ich przynależność zmieniała się równie często, jak kierunek wiatru. Zarówno dla Brytyjczyków, jak i Związku Radzieckiego Afganistan stanowił zaledwie poletko ich „wielkiej gry". Był areną, na której ścierały się siły mocarstw w walce o kontrolę nad Azją Środkową. Ale rozgrywka powoli zmierzała ku końcowi, a Afgańczycy zawzięcie stawiali opór obcym wpływom. Mówiąc o swojej wytrwałości, z dumą wypinają piersi.

Jednak Afganistan nie uchronił się przed stratami – kawałek po kawałku jego terytorium kurczyło się jak wełniany sweter porzucony na deszczu. Północne ziemie, w tym Samarkandę i Bucharę, przejęła wszechmocna Rosja. Południowe skrawki zostały odłączone, zachodnie – na przestrzeni lat przyłączone.

W ten oto sposób Szekiba urodziła się Afganką. I była jak Afganistan. Pech i okrucieństwo losu uczepiły się jej już w dzieciństwie i oskubywały stopniowo do czasu, aż została zaledwie strzępem osoby, którą powinna być. Gdyby chociaż była ładniejsza, gdyby przynajmniej stanowiła przyjemniejszy widok dla oka… Może wtedy ojciec miałby nadzieję, że w odpowiednim czasie uda się zaaranżować jej małżeństwo. Może wtedy ludzie odnosiliby się do niej z odrobiną życzliwości.

Ale rodzinna wioska Szekiby nie znała litości. Do Kabulu jechało się stamtąd tydzień, a po drodze trzeba było przeprawić się przez rzekę i pokonać trzy szczyty. Większość ludzi spędziła w wiosce całe życie – wśród zielonych pól otoczonych górami, wydeptując błotniste ścieżki łączące gospodarstwa. Wieś leżała w dolinie, której ciemną glebę użyźniała płynąca nieopodal rzeka, a wyrastające wokół wzniesienia dawały poczucie prywatności i odgrodzenia. Żyło tam wiele klanów – wielkich rodzin, które znały się od pokoleń. Jakimś sposobem większość ludzi była ze sobą spokrewniona, a plotki stanowiły główną rozrywkę mieszkańców wioski.

Rodzice Szekiby byli kuzynami w drugiej linii, ich małżeństwo zaaranżowała babka Szekiby ze strony ojca. Jej rodzina, jak mnóstwo innych, żyła z tego, co urodziła ich ziemia. Każdy też otrzymywał miejsce na wybudowanie własnego domu, jeśli podjął decyzję o opuszczeniu głównego gospodarstwa klanu. Ojciec Szekiby, Ismail Bardari, był najmłodszy w rodzie. Jego starsi bracia zdążyli się ożenić przed nim, a cała rodzinna ziemia wypełniła się ich partnerkami i dziećmi.

Widząc, że nie zostało już miejsca dla niego i jego wybranki Szafiqi, Ismail chwycił za pług i zabrał się do pracy. Miał szczęście, że ojciec pozostawił mu w spadku działkę na tyle żyzną, że jej uprawa gwarantowała urodzajne plony. To nagroda za pracowitość. Ojciec Ismaila wierzył, że jego najmłodszy syn nie zmarnuje potencjału tego poletka.

W wiosce nie brakowało pustych brzuchów do wykarmienia, więc z obfitych plonów można było czerpać dodatkowy zysk. Bracia Ismaila nie

byli obrotnymi gospodarzami. On za to miał talent. Wiedział dokładnie, w jakiej temperaturze powinno się siać, jak często obrabiać ziemię oraz jaką ilością wody podlewać uprawy. Rodzeństwo odrzuciło Ismaila, bo był oczkiem w głowie ojca. Udawali, że bardziej odpowiada im życie we wspólnym gospodarstwie. Ismail otoczył swój nowy dom ogrodzeniem z błota i kamieni, żeby zapewnić sobie prywatność – a każdy porządny afgański dom tego potrzebował – i zamieszkał w nim ze swoją nerwową żoną.

Dziewczyna, stojąc na swoim poletku, obserwowała krzątających się szwagrów i ich żony, które wyglądały jak niebieskie plamki na tle brunatnozielonego krajobrazu. Gdy inne kobiety odwracały się w jej stronę, natychmiast chowała się do domu i zakrywała brzuch. Wstydziła się, że jest spuchnięty z powodu dziecka.

Teściowie Szafiqi uznali ją za nudną i płochliwą, dlatego z czasem zaczęli poświęcać jej i wnukom znacznie mniej uwagi. Kobiety wzdychały ciężko podczas rozmów z nią i szeptały na jej temat Ismailowi, kiedy nie było jej w pobliżu. Gdyby ojciec Szekiby był jak większość mężczyzn, zapewne posłuchałby rad swoich szwagierek i poślubił kolejną żonę. Jednak najmłodszy Bardari okazał się wyjątkowy i trwał przy boku wybranki bez względu na opinię reszty rodziny.

Bracia Szekiby – Tariq i Munis – byli jedynym łącznikiem z klanem. Szafiqa była zajęta opieką nad Szekibą i jej młodszą siostrą Aqelą. Ojciec nazywał ją Bolbol*, bo jej delikatny, melodyjny głos przypominał mu śpiew słowika.

Tariq i Munis wędrowali między domami ojca i dziadków, pełniąc rolę kurierów. Nosili ubrania, warzywa i dostarczali wiadomości. Chłopcy byli lubianymi wnukami, docenianymi dodatkowo jako męscy spadkobiercy. Matka Ismaila, bibi Szahgul, często powtarzała, że Tariq i Munis to jedyne, co udało się Szafice. Malcy słyszeli wiele podobnych przykrych komentarzy, jednak wiedzieli, że niektóre lepiej przemilczeć. Szekiba i Aqela nie zdawały sobie nawet sprawy, jak niewiele znaczyły dla rodziny ojca, ponieważ całe dnie spędzały blisko matki. Czasem nawet zbyt blisko.

Życie dwuletniej Szekiby zmieniło się w ułamku sekundy. Któregoś przedpołudnia, po przebudzeniu, wyruszyła na poszukiwanie mamy. Usłyszała dobiegające z kuchni znajome odgłosy obierania warzyw, więc

* Bolbol – słowik

skierowała się w tę stronę. Stawiając niepewnie kroki, zahaczyła stópką o rąbek swojej sukienki i próbując utrzymać równowagę, strąciła z kuchni naczynie z gorącym olejem, zanim matka zdążyła zareagować. Już nic nie dało się zrobić. Rozgrzany tłuszcz chlusnął z garnka wprost na anielską buzię małej Szekiby, zamieniając jej policzek w pokryty pęcherzami, postrzępiony płat żywej tkanki.

Szafiqa krzyknęła i polała twarz córeczki wodą – na nic się to zdało. Było już za późno. Leczenie ran trwało wiele miesięcy. Szafiqa troskliwie pielęgnowała Szekibę i nakładała na poparzone miejsce specjalną mieszankę przygotowaną przez lokalnego uzdrowiciela. Gdy skóra dziecka walczyła o zdrowie, ból stawał się nie do zniesienia. Swędzenie doprowadzało małą Szekibę do szału, więc matka musiała obwiązywać jej rączki ścierkami, szczególnie gdy dziecko zdzierało z buzi czarne płaty martwej skóry.

Dziewczynkę dręczyły również ataki gorączki – tak wysokiej, że jej wątłym ciałkiem miotały drgawki i cała aż się skręcała. Szafiqa była bezradna, w takich chwilach nie miała córce do zaoferowania nic poza modlitwą przy jej boku. Kołysała dziecko i błagała Allaha o litość.

Kiedy bibi Szahgul usłyszała o tragicznym wypadku, przyszła zobaczyć Szekibę. Szafiqa w napięciu czekała na jakąś radę teściowej, ale tamta nie potrafiła pomóc. Zanim opuściła dom, zasugerowała tylko synowej, żeby lepiej pilnowała dzieci. Wymamrotała też, że dzięki Bogu nieszczęście nie dosięgło żadnego z chłopców.

Dziewczynka przeżyła. I to był kolejny cud, kolejny dar od Allaha. Lecz mimo że rany się zagoiły, to nie była już ta sama Szekiba. Kiedy się śmiała – śmiała się zaledwie połowa jej twarzy; tak samo gdy płakała – płakało tylko pół buzi. Najokropniejsza jednak była reakcja ludzi. Widząc prawy profil dziecka, zaczynali się uśmiechać, a kiedy tylko ich wzrok przekroczył „granicę", czyli nos Szekiby, miny stawały się zupełnie inne. Każda taka reakcja przypominała dziewczynce, że jest brzydka. Że jest potworkiem i budzi grozę. Niektórzy na jej widok cofali się o krok i zakrywali w przerażeniu usta, inni zdobywali się na odwagę i z przymrużonymi oczami pochylali się nad nią, żeby lepiej się przyjrzeć. Idąc drugą stroną ścieżki, ludzie zatrzymywali się i wytykali ją palcami.

„Tam. Widziałeś ją? To ta dziewczynka z połową twarzy. Mówiłam ci, że jest odrażająca, prawda? Ciekawe, czym sobie zasłużyli na taką karę…".

Nawet jej ciocie i wujkowie przy każdym spotkaniu kręcili głowami, gdakali i zawodzili, jakby nigdy wcześniej jej nie widzieli; jej wygląd był dla nich zaskoczeniem. Kuzyni z kolei wymyślali Szekibie różne przezwiska. Szola, bo jej policzek wyglądał jak pokryty szolą – papką ryżową, którą karmi się chorych. Albo Babalu, czyli monstrum. Tego określenia nie cierpiała szczególnie, bo sama bała się *babalu* – stwora, który prześladował w sennych koszmarach każde afgańskie dziecko.

Szafiqa starała się chronić córkę przed komentarzami, szyderstwami i spojrzeniami, ale było już za późno, żeby uratować poczucie własnej wartości Szekiby. Dla innych i tak niewiele znaczyła… Kiedy ktoś zbliżał się do ich domu albo – rzadko, ale jednak – odwiedzała ich rodzina, Szafiqa zasłaniała dziecko swoją suknią. Powtarzała: „Pamiętaj, Szekiba znaczy podarunek. Jesteś darem, córeczko. A nie powodem, żeby się na ciebie gapić".

Ale Szekiba wiedziała, że została straszliwie oszpecona i ma wielkie szczęście, że akceptuje ją przynajmniej najbliższa rodzina. Upały letnich dni sprawiały, że pod matczynym czadorem robiło się gorąco i duszno, ale mała czuła się tam bezpieczniej. Wolała przebywać w domu, poza zasięgiem ludzkich spojrzeń. W ten sposób dni jakoś mijały, a dziewczynka słyszała mniej obelg. Z czasem jej rodzice jeszcze bardziej odsunęli się od klanu, a niechęć do Szafiqi wzrosła.

Tariq i Munis tryskali energią, a ponieważ był między nimi tylko rok różnicy, wyglądali jak bliźnięta. Kiedy mieli osiem i dziewięć lat, zaczęli pomagać ojcu w polu i załatwiać sprawy we wsi. Zazwyczaj puszczali mimo uszu przykre uwagi o „przeklętej siostrze", ale Tariq czasami nie wytrzymywał i zaczął słynąć z ciętej riposty. Ale pewnego dnia to Munis wrócił do domu smutny i posiniaczony. Wdał się w bójkę, bo nie mógł dłużej znieść, kiedy chłopcy z sąsiedztwa dręczyli go z powodu okaleczonej siostry. Ismail próbował rozmawiać z rodzicami innych dzieci i naprawić relacje z nimi, ale nigdy nie skarcił synów za to, że bronili siostry.

Aqela, zawsze pogodna i roześmiana, śpiewała swoim ptasim głosem, podnosząc mamę i Szekibę na duchu i uprzyjemniając im wypełnianie domowych obowiązków. Były szczęśliwe, że mogły trzymać się razem. Nie posiadały wiele, ale miały wszystko, by nie doskwierała im samotność. Miały siebie – i to było najważniejsze.

W roku 1903 epidemia cholery zdziesiątkowała ludność Afganistanu. Wśród ofiar było bardzo dużo dzieci – więdły w mgnieniu oka, otulone słabymi ramionami matek. Rodzina Szekiby nie miała wyjścia, musiała korzystać z zatrutej wody, która płynąc przez wioskę, zbierała po drodze całą zarazę. Pierwszy zachorował Munis, potem przyszła kolej na pozostałych. Plaga szerzyła się w zastraszającym tempie. Uderzyła z ogromną siłą. Smród był nie do zniesienia. Widok umierającego rodzeństwa wstrząsnął Szekibą. Obserwowała, jak ich twarze stają się z dnia na dzień coraz bledsze i mizerniejsze. Aqela odchodziła cicho, jej melodyjny głos zamienił się w słabe pojękiwanie. Szafiqa szalała, Ismail kiwał tylko w milczeniu głową. W siedzibie klanu zmarło dwoje dzieci – po jednym każdego z wujków Szekiby.

Szekiba i jej rodzice czekali nerwowo, aż sami poczują skurcze w jelitach. Troszczyli się o chorych, przygotowani jednocześnie, że u nich samych w każdym momencie mogą wystąpić objawy śmiertelnej cholery. Szekiba widziała, jak jej ojciec zrezygnowany kładzie dłonie na ramionach modlącej się żarliwie żony. Skóra Aqeli zszarzała, oczy Tariqa się zapadły. Munis leżał cicho i nieruchomo.

Miała trzynaście lat, kiedy pomagała rodzicom obmyć i ubrać Tariqa, Munisa i śpiewającego ptaszka Aqelę w tradycyjne, białe stroje. Szekiba płakała cicho i pociągała nosem. Wiedziała, że już zawsze będzie ją prześladowało makabryczne wspomnienie dnia, w którym pomagała zrozpaczonemu ojcu kopać groby dla swoich nastoletnich braci i delikatnej Aqeli, która dopiero co skończyła dziesięć lat. Szekiba i jej rodzice należeli do nielicznych ocalałych.

Pierwszy raz od wielu lat klan złożył wizytę w domu Szekiby. Dziewczyna patrzyła, jak jej wujkowie i ciocie składają obowiązkowe kondolencje, po czym oddalają się w stronę kolejnego gospodarstwa, żeby opłakiwać wszechobecną śmierć. Obeszło się bez wyrażenia współczucia rodzicom Szekiby – niekoniecznie z powodu utraty trójki dzieci, tylko wyrażając żal, że Allah nie oszczędził któregoś z synów kosztem „wybrakowanej" dziewczynki. Zresztą Szekiba była już odporna na takie utyskiwania.

Tego roku zmarły tysiące ludzi. Rodzeństwo Szekiby było zaledwie jak krople w morzu ofiar epidemii.

Tydzień po pochowaniu trójki swoich dzieci Szafiqa zaczęła mówić do siebie szeptem, kiedy nikt nie patrzył. Prosiła Tariqa, żeby podlał rośliny,

a Munisa ostrzegała, że nie urośnie, jeśli nie zje całego obiadu. Przeczesywała palcami frędzle koca, jakby zaplatała warkocze z włosów Aqeli. Siadała też nieruchomo i wyskubywała z głowy pojedyncze włosy – jeden po drugim, aż zniknęły wszystkie, nawet brwi i rzęsy. Gdy nie miała już czego wyrywać, zaczęła szczypać skórę swych ramion i nóg. Podczas posiłków dławiła się kawałkami jedzenia, których zapominała przeżuć. Jej niepokojące szepty z czasem stawały się coraz głośniejsze, ale Szekiba z ojcem udawali, że niczego nie dostrzegają. Niekiedy Szafiqa najpierw z uwagą się w coś wsłuchiwała, a następnie beztrosko śmiała się z żartów swojego wyimaginowanego rozmówcy. Szekiba powoli zamieniła się w matkę własnej matki, przypominając jej o wieczornej kąpieli i troszcząc się o jej spokojny sen.

Dokładnie rok później usychająca z tęsknoty Szafiqa postanowiła już się nie budzić. Nikogo to nie zaskoczyło.

Ismail trzymał dłonie żony, rozmyślając, jak wiele musiały wycierpieć. Szekiba przyłożyła policzek do twarzy matki i spostrzegła, że z jej oczu zniknął opętańczy błysk – przepełniał je spokój. „Matka odeszła, patrząc w oblicze Boga", pomyślała dziewczyna. W końcu nic innego nie ukoiłoby jej bólu i rozpaczy tak szybko.

Dom odetchnął z ulgą. Szekiba ostatni raz wykąpała matkę, umyła dokładnie jej łysą głowę. Zauważyła, że Szafiqa wyrwała sobie włosy także z okolic intymnych. Ciężar smutku uleciał, jej ciało nie ważyło już prawie nic.

Tego dnia ojciec z córką wyszli na pole, żeby po raz kolejny pochować kogoś bliskiego. Nie mieli zamiaru informować reszty rodziny. Ismail odczytał nad kopcem ziemi modlitwę, po czym z Szekibą spojrzeli na siebie, zastanawiając się, które z nich jako pierwsze dołączy do pozostałych.

Zostali sami, we dwoje. Jeden z kuzynów odwiedził ich, by poinformować o nadchodzącym ślubie, po czym przekazał klanowi smutną wieść, że Ismail został wdowcem. Krewni zlecieli się jak sępy. Pretekstem było przekazanie mu wyrazów współczucia, w rzeczywistości jednak wszyscy namawiali ojca Szekiby, żeby wreszcie skorzystał z okazji i zaczął nowe życie z nową żoną. Wymieniali nazwiska wiejskich rodów z córkami na wydaniu – przeważnie niewiele starszymi od Szekiby – lecz zrozpaczony Ismail nawet nie chciał ich słuchać. Był zbyt zmęczony, by zabiegać

o rękę przyszłej wybranki, a rodzina nie chciała mu pomóc w zaaranżowaniu małżeństwa. Pękało mu serce.

Szekiba dorastała przy boku ojca. Był jedyną osobą, do którego mogła się zwrócić, spojrzeć w jego samotne oczy, usłyszeć roztargnione słowa. Pracowała z nim dniami i nocami. Im więcej z siebie dawała, tym łatwiej było zapomnieć Ismailowi, że Szekiba jest dziewczyną. W końcu zaczął ją traktować jak syna, niekiedy mylił się i wołał ją imionami jej zmarłych braci. Wioska zaczęła plotkować na ich temat. Jak ojciec z córką mogą żyć zupełnie sami? Współczucie ustąpiło miejsca krytyce, a Ismail i Szekiba stali się jeszcze bardziej wyobcowani… Klan się ich wyparł, a wieś nie chciała mieć wiele wspólnego ze zdziwaczałym, okaleczonym staruszkiem i jego jeszcze bardziej okaleczoną córką.

Przez lata Ismail zdołał sobie wmówić, że nigdy nie mieszkał z żoną i od zawsze miał tylko jedno dziecko. Ignorowanie wszystkiego stało się sposobem na przetrwanie. Był jedyną osobą, która nie zauważała zniekształconej twarzy Szekiby. Niestety nie zauważył również, że jako młoda kobieta potrzebowała kobiecych rad. Podczas miesiączek córki udawał, że nie czuje zapachu czerwonych od krwi szmatek, które dziewczyna starannie wyżymała i chowała za stertą drewna na opał w ich dwupokojowym domu, a kiedy Szekiba płakała – tłumaczył sobie, że pociąga nosem z powodu przeziębienia.

Zabierał córkę w pole, do pomocy przy uprawie ich skromnego już poletka. Szekiba wyręczała ojca w zarzynaniu zwierząt i rąbaniu drewna – niczym silny syn. Pozwoliła staremu Ismailowi uwierzyć, że od zawsze tworzyli męski duet. Dowiodła, że ma wystarczająco dużo siły, żeby zastąpić go w prowadzeniu gospodarstwa, o czym dodatkowo przekonywały pięknie wyrzeźbione muskuły oplatające jej barki i ramiona.

Mijały lata, a wygląd Szekiby wciąż się zmieniał. Stała się bardziej szorstka, jej dłonie pokrywał gruby, zrogowaciały naskórek. Z kolei Ismail z każdym dniem niedołężniał – pochylał się coraz niżej, widział coraz mniej i wymagał sporo opieki. W końcu Szekiba musiała samodzielnie prowadzić gospodarstwo i dom.

Na jej miejscu każda dziewczyna czułaby się opuszczona, jednak sytuacja Szekiby była inna – samotność jej sprzyjała. Gdyby otaczali ją rodzi-

ce z dziećmi, wciąż wytykano by ją palcami. Jej wygląd szokował wszędzie, z wyjątkiem domu.

Ludzie nękani w życiu przez tragiczne wydarzenia mogą mieć pewność, że ich zła passa prędko się nie skończy. Przeznaczenie ułatwia sobie zadanie, podążając wcześniej przetartymi szlakami. Okrutny los wrócił po Ismaila. Ojciec Szekiby był już bardzo słaby, jego głos – ledwo słyszalny, a oddech – płytki. Któregoś dnia, na oczach córki wychylającej się zza kamiennego ogrodzenia, złapał się za klatkę piersiową z bolesnym grymasem na twarzy, zrobił dwa kroki i osunął się na ziemię, ściskając sierp w dłoni.

Szekiba miała dopiero osiemnaście lat, ale doskonale wiedziała, co robić. Ułożyła ciało ojca na prześcieradle i zaczęła je ciągnąć z powrotem do domu, zatrzymując się co parę kroków, żeby poprawić chwyt i wytrzeć strużkę łez spływającą po jej prawym policzku. Druga strona twarzy Szekiby emanowała stoickim spokojem.

Położyła Ismaila w salonie i usiadła przy jego boku. Zanim wzeszło słońce, powtórzyła kilkakrotnie fragmenty Koranu, których nauczyli ją rodzice, a nad ranem rozpoczęła ceremonię żałobną. W swoim krótkim życiu brała w niej udział zbyt często. Rozebrała ojca, pozostawiając jednak pod przykryciem jego intymne miejsca. Rytuału obmycia ciała powinien dokonać mężczyzna, lecz Szekiba nie miała się do kogo zwrócić. Wolała narazić się na gniew Allaha, niż prosić o cokolwiek tamtych podłych ludzi.

Wykąpała Ismaila – odwracając wzrok, gdy polewała wodą jego przyrodzenie – i po omacku owinęła sztywne ciało tradycyjną szatą, jak kiedyś jej matka ubrała ciało Aqeli. Wyciągnęła go znów na zewnątrz i po raz ostatni otworzyła rodzinny grób na tyłach domu, by wypełnić swą powinność. Zagryzła wargi i zastanawiała się, czy wykopać jeszcze jedno miejsce dla siebie. Ostatecznie doszła do wniosku, że i tak nikt nie przyjdzie jej pochować. Wycieńczona szeptała modlitwę i patrzyła, jak jej ojciec znika pod grudkami ziemi – dokładnie tak, jak wcześniej jej siostra, bracia oraz matka.

Weszła do opustoszałego domu i w milczeniu usiadła – wystraszona, wściekła i jednocześnie spokojna.

Szekiba została sama.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059